

Poniższe felietony ojca Freemana ukazały się w brytyjskim czasopiśmie chrześcijańskim THE TABLET. Przedruk za pozwoleniem.

wrzesień 2006

Modlitwa jako spotkanie - York, Anglia

Ostatnie słowa Benedykta XVI na temat islamu okazały się dla nas problematycznym błogosławieństwem podczas dorocznego wydarzenia Drogi Pokoju.

"Modlitwa jako spotkanie" zgromadziło razem chrześcijan i muzułmanów, by modlić się razem i kontemplować nasze bogate tradycje. Jak tylko się ono rozpoczęło zacząłem otrzymywać e-maile od przyjaciół z Światowej Wspólnoty WCCM zaniepokojonych tym, czy niekontrolowany pożar oburzenia jaki wywołały papieskie słowa nie zamąci spokoju spotkania. Może dzięki obecnym tam młodym ludziom, a może dzięki starszym, a tak naprawdę dzięki wspólnej modlitwie, im więcej złych wieści nadchodziło, z tym większą przyjaźnią zbliżaliśmy się duchowo do siebie.

Siedząc w sobotę wieczorem na podłodze miejscowego meczetu tuż po isha, ostatniej z pięciu modlitw dnia (salat), rozmawialiśmy popijając herbatę. Pytaliśmy się wzajemnie o kwestie związane z naszą wiarą. Pytania, jakie zadawaliśmy, jasno dowodziły ignorancji w podstawowych sprawach. Do grupy, w której siedziałem podszedł muzułmański profesor, by podzielić się refleksjami na temat wysłuchanego wykładu. Był bardzo poruszony, tym, co usłyszał, jednak stwierdził, że duch modlitwy i gościnności okazał się silniejszy. Pomyślałem później, że warto wyciągnąć wnioski z tego zdarzenia, by relacje między naszymi siostrzanymi wyznaniami zmieniały się na lepsze.

Zanim Kain zabił swego brata "chodził z ponurą twarzą" - jest to podstawowa i naturalna reakcja na każde uczucie odrzucenia. Bóg interweniuje i pyta go "dlaczego jesteś smutny i dlaczego twarz twoja jest ponura" - ten sam rodzaj racjonalnego pytania zadał papież zdumiony gwałtowną reakcją, z jaką spotkały się jego słowa o islamie. I wtedy Bóg mówi coś, o czym zapomnieliśmy w całej tej kontrowersji pomiędzy papieżem Benedyktem XVI a islamem, coś, co stanowi transcendentalny wymiar każdej religii. Bóg nakłania Kaina, by poczekał i zapanował nad demonem, który "leży u twoich wrót i czyha na ciebie", bo w przeciwnym razie zostanie przez niego opanowany.

Modlitwa jest czekaniem. Jest siostrą braku-przemocy, która Ghandi uważał za najwyższy objaw siły. Trancendencia rodzi się w tej głębokiej cierpliwości. Cierpliwość to nie tylko zachowanie spokoju, kiedy spóźnia się pociąg, czy nie walenie w komputer, gdy ten „zawiesił” się w działaniu. Kontrolowanie niecierpliwości jest praktykowaniem głębszej prawdy cnoty cierpliwości. Choć brzmi to dziwnie, to w czekaniu istnieje siła. Nasi monastyczni i scholastyczni nauczyciele konferencji wykazali to na przykładzie wielu mistyków naszych tradycji - katolickich, sunnickich i ortodoksyjnych - których różnorakie praktyki duchowe spotykały się w

jednym wspólnym doświadczeniu wszystkich modlitw - miłości. Przewodnicy religijni łatwo zaniedbują tę prawdę, a jest to coś najbardziej oczywistego i najważniejszego do zapamiętania. Ci, co nie kochają, nic nie wiedzą o Bogu. To nie jest jakaś metafizyczna logika, ale logika serca. Nasze najbardziej podstawowe doświadczenie uczy nas, że życie bez miłości jest nie do zniesienia. Miłość jest przekroczeniem siebie i nakierowaniem sił na drugiego w akcie cierpliwej uwagi. Rodzice to czynią, kochankowie to czynią i przewodnicy religijni, jeżeli chcą zachować autentyczność, też muszą to czynić.

Tak jak się modlisz, tak też i żyjesz. Modląc się głęboko, żyjemy mocą transcendencji. Nie chodzi tu jedynie o salat i liturgie, ale o kontemplację. Św. Augustyn powiedział, że jedynym celem doczesnego życia jest otwarcie oka serca, którym widzimy Boga. Trancendencja czyni nas bardziej ludźmi, bo pomaga ten cel zrealizować. Środki ku temu daje religia, ale nie mogą one stać się celem samym w sobie.

Wyczekiwanie, cierpliwość, uspokojenie i cisza są szczególnie ważne dzisiaj, w dobie nateżonej i nieustannej komunikacji. Św. Benedykt powiada, że duch ciszy jest tak ważny, iż pozwolenie na mowę powinno być rzadko udzielane, nawet dobrym uczniom, i tylko ku zbożnemu dziełu i pokrzepiającej rozmowie, bo "w wielkim gadaniu nie ustrzeżesz się przed grzechem". Racjonalizm, to lingwistyczne logos, jak to trafnie zauważył papież Benedykt XVI, jest tylko połową drogi do pokoju. Św. Benedykt kładzie nacisk na drugą połowę tej drogi, którą jest transcendencja w obecności Tajemnicy, ta zaś przemawia ciszą.

Modliliśmy się salat, odmawialiśmy chrześcijańskie modlitwy. Ale siedzieliśmy też w ciszy medytując - my nazywamy to modlitwą serca, muzulmanie zaś dhikr. Ogranicza ona wiele słów do jednego słowa w bogatym ubóstwie ducha. W tej ciszy dotknęliśmy jedności, na którą słowa jedynie wskazują. To nie ucieczka od rzeczywistości, lecz objęcie Boskiej rzeczywistości, która razem nazywamy miłością. Ludzkie relacje zmieniają się poprzez to doświadczenie trancendencji, w sposób, którego słowa nie są w stanie oddać. Życie nasze płynie inaczej, gdy razem jesteśmy cierpliwi w ciszy miłości.

*With much love,
Laurence Freeman OSB*

styczeń 2007

Płaszczka i Betlejem

Colam, mój czteroletni chrześniak, podarował mi kilka dni temu przez siebie namalowany rysunek. Domyśliłem się, że chodziło w nim o Jezusa, ale zapytałem:

- Kto to jest?
- Jezus w żłóbku.
- A to kto?
- Józef.
- A to? - spytałem wskazując długą zakręconą linię.
- Płaszczka.

Wyglądałem chyba na niezłe zakłopotanego. Nie mogłem więcej zakłócić świata, w który zostałem wprowadzony, poddając w wątpliwość obecność płaszczki w stajence.

Ale właściwie dlaczego by nie? Pozostało mi jeszcze zadać uzasadnione pytanie o to, gdzie jest Maryja.

- Nie widać jej. Jest za płaszczką.

Ależ oczywiście, że tak – przytaknąłem.

W Dhammapadzie Budda mówi, że świat jest tym, czym go sami tworzymy. Jest więc całkowitą konstrukcją naszych myśli. Może to oddaje częściowo prawdę, na którą wskazywał Chrystus mówiąc, że „gdzie jest twój skarb, tam będzie i serce twoje”. Nasze działanie jest kształtowane poprzez nasze widzenie. Nasz sposób percepcji jest naszym doświadczeniem rzeczywistości – przynajmniej do momentu, aż coś spoza naszej sfery odniesień dostanie się do naszego świata i zmieni jego orientację – tak, jak wielkie Objawienie czasu, który właśnie przeżywamy. Widzenie świata Colama, typowe dla jego wieku zaskakuje umysł dorosłego człowieka, bo jego prawdy ujawniają nasze własne wątpliwości i wyparcia. Obyśmy tylko mieli odwagę do nich się przyznać. Niezachwalność świata widzianego oczami dziecka, tak jak duma i śmiałość wieku młodzieńczego, ma swój urok, stąd należy mu się wiele szacunku.

Świat Colana przypomniał mi wszechświat innego dziecka, o którego antypody otarłem się kilka miesięcy temu, gdy w swoim białym habicie poszedłem medytować wraz z dziećmi przedszkolnymi w katolickiej szkole w australijskiej diecezji Townsville. Medytacja stała się tam cześcią nauki religii. Zauważyłem małą dziewczynkę przyglądającą mi się uważnie, podczas gdy inne dzieci zajęte były usadawianiem się w medytacyjnym kręgu. Podeszła do mnie z wielką ciekawością w oczach i zapytała: „Czy ty jesteś aniołem?” Było to jedno z owych pytań, które potrafi zadać tylko młody umysł. Nie było w nim żadnej ironii, czy dwulicowości. Tak jak płaszczkę w stajence, należało je przyjać do wiadomości. Wyśmiać je, czy mu zaprzeczyć byłoby równoważne z uwiązaniem kamienia milowego wokół czyjejsz szyi. Widzenie świata oczyma dziecka ma swoją samo-potwierdzającą i samo-broniącą się logikę, choć może nie aż tak silną i zasadną jak tomizm, który dostarcza odpowiedzi na większość trudnych pytań. W ostateczności i miejmy nadzieję, że krok po kroku, widzenie to rodzi swoją własną wystarczalność. Pod ciśnieniem większych galaktyk z tego samego kosmosu otwiera się ono i ulega przemianie. Mityczne pewności muszą z wolna poszerzyć się o to, co rozumowe i racjonalne, a kiedy wyczerpie się już arogancja pewności, zastąpi ją koegzystencja tego co rozumowe i duchowe.

Współistnienie daleko różniących się wizji świata leży w sercu szekspirowsko pojmowanej cudowności życia, która domaga się uniwersalności (katolicyzmu) ponad sekciarstwem. Jeżeli się na to nie zdobędziemy, nie powinien nas dziwić fakt, że niszczymy się nawzajem poprzez próby usunięcia, czy też kolonizacji tego, co inne. Częścią rytuału obdarowywania jest skrywanie podarunku, by tym samym podkreślić zachwyty jego odsłaniania. Ojcowie Pustyni mówili, że Wcielenie zarówno ujawnia, jak i zakrywa Boskość, a następujące po nim wydarzenia przyjęcia daru są tragiczną farsą nierozpoznania i niezrozumienia. „Przyszedł do nas w ukryciu i zbawienie zasadza się na naszym jego rozpoznaniu” pisała Simone Weil. Czym jest owo rozpoznanie jak nie wejściem w „nowe stworzenie”, gdzie w końcu i nareszcie percepcja i rzeczywistość stają się czymś tożsamym.

Światy dzieci łatwo nam zaakceptować, bo są one chronione ich niewinnością, a my i tak wiemy, iż ulegną one zmianie. Niedawno rozmawiałem z 60-letnim Jahalem, Irańczykiem mieszkającym w Bombaju. Choć wydawał się być sędziwym, to jednak

był jednocześnie światowym i trzeźwo patrzącym na świat człowiekiem. Niemniej zaskoczył mnie on swą wizją świata. Tak, jak lekarze wystawiani są na wysłuchiwanie historii chorób, gdy tylko w towarzystwie ujawnią swą profesję, tak i osoby duchowne raczone są najdziwniejszymi wyjaśnieniami, co do racji powstania świata i prawdziwych intencji Pana Boga. I tak to Jahal opowiedział mi o djins, niewidzialnych stworzeniach z ognia, które współzamieszkują nasz świat. Są to istoty z natury psotliwe, ujawniające się tym, którzy długo modlą się lub poszczą. W odpowiedzi na moje coraz bardziej docieklive pytania przyznał, że niewiele o nich wie i że lepiej zasięgnąć wiedzy u mądrzejszych zoroastrian.

W akcie przyznania się, że istnieje wśród nas więcej niż tylko jedyny nasz sposób widzenia świata lub wiary, leży świadome zaakceptowanie faktu, że wszyscy możemy ze sobą współdziałać. Może nawet wspólne pokorne przyznanie się do tego, czego nie wiemy, może zjednoczyć nas jeszcze bardziej niż to, czego jesteśmy pewni. Po tym jak „spotkałem” djins, zdecydowałem przy najbliższej sposobności zapytać Colama, jak ta płaszczka dostała się do Betlejem.

With much love,

Laurence Freeman OSB

luty 2007

Pradakishna – Arunachala/Południowe Indie

Pełnia księżycy dobrze wróży w ciągu nocy *pradakishna* – trzynastokilometrowego marszu wokół ośmiuset metrowego stożka góry Arunachala ucieleśniającego bóstwo Shiwy. Przed wyruszeniem w drogę należy się wykąpać i oczyścić umysł.

Nie wykąpałem się, nie szedłem boso i umysł mój nie był czysty. Ale już sam ten marsz, z tysiącami pielgrzymów wokół czegoś, co kojarzyło mi się z indyjską symboliką Trójcy Św., był sam w sobie wartością.

Słowo *pradakishna* zawiera wszystko to, czego poszukują pielgrzymujący tego świata podczas swoich wędrówek od Indii po Camino de Compostella w Hiszpanii. *Pradakishna* gładzi grzech, uświadamia dogłębne pragnienia, unicestwia karmę i przyspiesza pracę nad samowyzwoleniem. Moi współwędrujący hinduscy pielgrzymi mieli chyba spody stóp zrobione z żelaza albo poruszali się na powietrznych poduszkach. Siła i świadomość celu tego rytuału była w nich niemal przerażająca, czuło się ją niezależnie od tego czy szli szybko, rozmawiali ciągnąc się z wolna, czy też posuwali do przodu w milczeniu. Księżyc świecił jasno. Szliśmy wokół niezmiennej ciszy góry co niczym Bóg ujawniała się w coraz to innych, intrygujących i kuszących odcieniach.

Światłocienie i kakofonia dźwięków wzdłuż trasy pielgrzymki uwypuklały w niej to, co było święte, nie wchodząc w konflikt z profanum. Taka właśnie pełnia życia jest uderzającą cechą indyjskiej religijności. To, co mistyczne współlistnieje z tym, co seksualne, jak symbole genitalii lingiam i yoni w hinduskich świątyniach w sposób, który zaskakiwał swą pornogra-ficznością chrześcijańskich misjonarzy.

Tumult ludzi i zamęt świętego marszu wokół Arunachala łączy w sobie komercyjność z modlitwą, rozrywkę z kultem. Jedno nie wyklucza drugiego prowokująco pytając przybysza: *Powiedz mi, dlaczego nie wolno mi tu być?* Przyszedł mi na myśl Klemens z Aleksandrii, gdy stwierdził, że nic co jest zgodne z naturą nie jest przeciwne Chrystusowi.

Cała trasa marszu usiana była straganami z jedzeniem, jasno oświetlonymi stoiskami z religijnymi gadżetami, świętymi obrazami i miniaturowymi ołtarzykami dla spontanicznych rytuałów *puja*. Wokół unosiła się woń kadzideł i smakowitych bananów zawiniętych w liście zmieszana z innymi już mniej przyjemnymi zapachami. Wyznawcy różnych guru wykrzykiwali na głos ich nauki, a warczące skutery zrecznie przepychały się poprzez ogromny tłum. Brak było wyznaczonego punktu startu i końca drogi i nic nie wydawało się być tu zorganizowane. Co osiągnął ten, który doszedł do jej końca?

Przewędrował wokół góry w tłumie roznamietnionych Hindusów wraz z garstką sceptycznych białych turystów, którzy udawali, że wszystko jest tak jak ma być.

Był w Obecności bijącej z Arunachala, odwiedził swój dom.

Poczucie owej szczególnej Obecności przyciągało tu przez wieki tysiące pielgrzymów. Najbardziej nam współczesnym był siedemnastoletni chłopiec ze średnio zamożnej rodziny w Madurai. Miał na imię Venkataraman, ale do historii przeszedł jako Ramana Maharshi. Był mało wyróżniającym się uczniem i lubił grać w football, gdy w 1896 roku po raz pierwszy usłyszał o Arunachala. Już samo brzmienie jej nazwy zaczęło wywierać na niego wpływ. W jakiś czas potem z niewiadomych powodów ogarnął go ogromny strach przed śmiercią. Postanowił zgłębić naturę tego strachu. Położył się na ziemi jak umarły i wtedy w przebłysku świadomości zrozumiał, że „Ja” jest nieśmiertelne. Doświadczył swej Jaźni i pozostał w tym stanie samoświadomości aż do śmierci w 1950 roku. Wkrótce po owym doświadczeniu udał się w podróż do świątyni Arunachalaleswara o tysiącach kolumn u stóp góry Arunachala. Siedział tam w stanie olśnienia nie dbając o żadne potrzeby materialne. Pewnie gdzieś indziej ludzie w białych fartuchach zaaplikowaliby mu lekarstwa i umieścili na oddziale psychiatrycznym. Tutaj zaopiekowano się nim i zaczęli przybywać do niego ci, którzy wyczuwali w nim ową szczególną emanację Obecności. Historia ta przypomina św. Benedykta, który jak Ramana Maharshi spędził lata w milczeniu w jaskini Sacro Speco zanim ta stała się aśramskim centrum. W przeciwieństwie do Benedykta Rama nie zostawił żadnej Reguły – oprócz prostej nauki o samopoznaniu poprzez bezustanne pytanie się *kim jestem?*

Nazajutrz w dzień urodzin Ramana przybyły niezliczone tłumy odwiedzających. Związane z tą okazją uroczystości cechowały wszechobecny hałas i radość. Jaskinia Ramana, która przechowywała oryginalną atmosferę jego przeżycia, była z niewiadomych przyczyn zamknięta. Aśramska brahmińska szkoła miała wolny dzień i rozradowani uczniowie grali w siatkówkę. Za to właściciel aśramskiego sklepiku obleganego tłumnie przez pielgrzymów miał ręce pełne roboty.

Zastanawiałem się, jak można zinstytucjonalizować doświadczenie Boga, tak by nie rozminąć się z jego przesłaniem? Mimo nieuchronnej ułomności struktur, które się wokół takiego wydarzenia budują trwa jednak coś tak spontanicznego i wolnego jak *pradakishna*, potwierdzając autentyczność tego, co miało tutaj kiedyś miejsce.

Jest tak, bo jak powiedział islamski mistyk Rumi: wszystko obraca się wokół Tego, który kocha.

Much love

Laurence Freeman OSB

lipiec 2007

Nigdzie – Nowa Zelandia

Pierwsze światło brzasku dnia na naszej planecie rozbłyska nad Nową Zelandią. Dla wielu z odwiedzających to miejsce i z pewnością wielu z jej mieszkańców, tym którym wieloznaczne słowo “dom” ciągle kojarzy się z “Anglią”, Nowa Zelandia wydawać się może kawałkiem zielonego Albionu (starodawna nazwa Anglii, przyp. tłum.) iskrzącego w srebrze wód Południowego Pacyfiku. Goście z Anglii, ci którzy pamiętają jeszcze uporządkowany, spokojny świat przejść dla pieszych i stojących przy nich pomarańczowych kul belisha na czubku pomalowanego w paski zebry słupa mogą zastanawiać się, czy to właśnie tu wyemigrował ich kraj.

Ale jest to też kraj inicjatyw. Tu wyświęcono pierwszą kobietę na biskupa. Maorysi, którzy stopniowo powracają do korzeni swej wspaniałej kultury i wreszcie uzyskali należne im, aczkolwiek spóźnione, uznanie w oczach swych najeźców, pokazali Europejczykom i światu lekcje uzdrawiającej sprawiedliwości – traktując sprawiedliwość, jako sprawę wspólnotową, a nie jedynie jako coś bezosobowego i dotyczącego poszczególnej jednostki.

Życie płynie tu wolniej, tym wolniej im bardziej na południe. Jest stres, są korki uliczne i zanieczyszczenie powietrza, inaczej trudno byłoby mówić o nowoczesnym kraju, lecz odczuwa się je tu w mniejszym stopniu. Europejczyków i Amerykanów przyciąga do Nowej Zelandii jej styl życia pozbawiony wysokich tonów hałasu ich własnych miast. Urzędnicy są tu bardziej przyjaźni, mają czas by ci pomóc i widać, że sprawia im to przyjemność. Gdy ludzie z różnych zakątków Nowej Zelandii zejdą się razem, tak jak to miało miejsce podczas naszego trzydniowego skupienia w Auckland, szybko ogarnia ich to specyficzne poczucie jedności, tak charakterystyczne dla podróżników, czy osadników z odległych miejsc naszego globu. Jak tylko rozpoczyna się czas milczenia, to wydaje się, że da się słyszeć zgrzyt zmiany mentalnych biegów, gdy ludzie gwałtownie zwalniają i zjeżdżają na pasy powolnego ruchu. Tak jakby tutaj ta zmiana tempa była mniej dramatyczna. Głęboka cisza zapada szybciej już podczas pierwszych minut medytacji. Nie musiałem powtarzać, że jedną z różnic między chrześcijańską a buddyjską medytacją jest to, że w buddyjscy medytujący nie kaszlą.

Gdy tak człowiek spędzi kilka dni w jednym miejscu, spacerując kilkaset jardów tam i z powrotem z kaplicy do audytorium, medytując sześć razy na dzień i jedząc w całkowitym milczeniu, to zauważa rzeczy, które umysł zwykle dokładnie odfiltrowuje. Wielkie wspaniałe paprocie Nowej Zelandii, jedne z najstarszych okazów wegetacji, niosą w sobie pamięć prehistorycznych czasów naszej planety. Mały zwinięty w sobie pierzasty liść paproci, zawierający w sobie ogrom rośliny, którą się stanie, przypomina biskupi pastorał - ewolucyjny rodzaj czarodziejskiej różdżki. Często widać go, jako motyw w maoretańskiej sztuce. Przystaje być tajemnicą, dlaczego ten

właśnie kraj był najbliższy temu, co Tolkien wyobraził sobie jak Środkową Ziemię. Hobbici biorą na poważnie picie herbatki i uwielbiają śniadania na gorąco.

Wędrując medytacyjną ścieżką, zwłaszcza wczesnym rankiem i z wieczora, zastanawiałem się, czy kamerzysta używał filtru był uzyskać potrzebny supernaturalny efekt. Światło brzasku nie tylko dociera tu jako pierwsze, ale również pozostaje w ciągu dnia świeże i łagodne. Szczególnie zaś, gdy załamane na liściach paproci ma w sobie tę zielonożółtą poświatę. Jakby wypływało lub spływało z jakiegoś rozproszonego źródła luminancji. Nie daleko miejsca naszego skupienia znajduje się jeden z wielu rozsianych wokół całej okolicy surrealistycznych stożków wygasłego wulkanu. Teraz cały pokryty trawą, drzewami i tarasami, co służyły kiedyś Maorysom za fortece, wydawał się pulsować zielenią zieleniej od koloru zielonego. Gdy słońce zniknęło po drugiej stronie globu, to błyszczące gwiazdy świeciły nowym światłem, a my z wolna szliśmy w zbliżającą się ciemność, w ten ostatni czas dnia, do naszych pokoi.

Zanim opuściłem ten kraj w drodze do jego większego i głośniejszego sąsiada wziąłem jeszcze udział w konferencji nowozelandzkich biskupów, tym razem bez ich czarodziejskich różdżek. Jest ich niewielu i może dlatego są tak dobrymi biskupami. Czas schodzi im nie tylko na nauczaniu, co jest zwykłą powinnością biskupa, lecz również na byciu obecnym wśród ludzi, którym służą i wsłuchiwanie się w to, co być może podszeptuje Duch. Może jest w tym jakiś brzask nowego Kościoła. Samuel Butler napisał powieść o Nowej Zelandii i nazwał ją Erewhon (= Nigdzie). "Nigdzie" w języku kontemplatywnej podróży znaczy, że dokądś się przybywa. Południowa Wyspa Nowej Zelandii dotyka koniuszkami palców stóp zimnej Antarktyki. Stąd też tutejszym biskupom wydaje się, że wszędzie od nich daleko. Być może jednak jest bliżej od nich i jest cieplej, niż im się wydaje.

Much love

Laurence Freeman OSB

maj 2007

Różnorodność w maleńkości - Ryga/Łotwa

Sądząc po sile ich śpiewu pomyślałem sobie, że mam przed sobą wielki tłum. Ale za rogiem ulicy, w wiosennym słońcu poranka, zobaczyłem skromną grupkę młodych i starszych łotewskich nacjonalistów, zebranych przed gmachem pałacu prezydenckiego w starej części Rygi. Ich śpiew niósł w sobie słowiański smutek wobec nędzy życia, od której nie da się uciec i upór, by nie powiedzieć radosną odwagę, aby się tej nędzy nie poddać.

Ten sam smutek odnalazłem nazajutrz w dniu Wniebowstąpienia w katolickiej katedrze, słuchając prawosławnego chorału wplecionego w łaciński śpiew hymnów. Nie rozumiejąc ani napisów na transparentach ani słów ich pieśni, zastanawiałem się, o co szło tym demonstrantom. Pewnie przeciwko czemuś protestowali. Czekałem, więc na dalszy rozwój wydarzeń. Protest, nie tracąc nic na swej intensywności, w spokoju i porządku trwał nadal pod okiem rozmawiających ze sobą policjantów. Od czasu do czasu demonstranci posilali się kawą z pobliskiej kawiarni. Później

dowiedziałem się od przygodnego gapia, że był to protest przeciwko przekazaniu Rosji spornego od dawna, aczkolwiek bez strategicznego znaczenia, kawałka łotewskiej ziemi, którą zamieszkiwała rosyjskojęzyczną część społeczeństwa. Mój rozmówca nie miał cienia wątpliwości, że Łotwa dostała w zamian propozycję korzystnych warunków zakupu ropy, czy też innej wymiany handlowej. Jego zdaniem nie było więc tutaj mowy o jakiejś porażce, a demonstracja była częścią zwyczajnej gry politycznej. Ale protestujący śpiewacy byli zapewne innego zdania. No cóż, oni byli Łotyszami.

Łotwa od wieków była przyczółkiem między Europą a Rosją i może właśnie ten fakt okaże się najważniejszy dla jej przyszłości. Jej historyczna tożsamość nie jest klarowna. Łotysze są jednym z trzech odrębnych plemion bałtyckich, spokrewnionym ze Skandynawami i Rosjanami. Choć kiedyś przehandlowano ich w układach wielkich mocarstw, nigdy jednak nie zatarli poczucia swojej odrębności.. Niepodległość wywalczyli ostatecznie w 1918 roku. Dwadzieścia lat później rozpoczęła się okupacja faszystów i komunistów, która trwała przez następne 50 lat. Muzeum Okupacji – jedyny mój turystyczny wypad wcisnięty pomiędzy naukami – obrazuje na historycznych fotografiach ten długotrwały koszmar. Muzeum podjęło się niemożliwego zadania wytłumaczenia czegoś nie do pojęcia dla tych, którzy tu nie żyli. Te tragiczne wspomnienia są jednak zaledwie małą częścią historii i splotu kulturowo- językowego tego uroczego kraju. Dziś walczy on twardo by wypracować należne sobie miejsce w globalizującym się świecie. To dlatego Mary McAleese, prezydent Irlandii, przyjechała do Łotwy by porozmawiać z perspektywy kraju o podobnej przeszłości, który osiągnął sukces, o jakim Łotysze ciągle marzą, o tym jak wykorzystać zalety bycia małym w świecie, gdzie liczy się wielkość.

Łotwa jest jednym z nielicznych religijnych krajów Europy. Po przetrzymaniu komunizmu jej wiara pełna jest wigoru i otwartości. Luteranie, katolicy, prawosławni, baptyści i staroobrzędowcy (odłam prawosławia z XVII wieku) z prawdziwą przyjaźnią dzielą się swoimi tradycjami, jedynie Rosyjska Cerkiew wykazuje tu najmniej otwartości. Biskup luterański został ochrzczony dopiero w wieku 24 lat. Jest jednym z wielu, którzy odnaleźli wiarę w bolesnym nawróceniu podczas lub po komunistycznej erze. Łączy go szczerza przyjaźń ze swym odpowiednikiem w Kościele katolickim. Ich wzajemna bliskość wiele znaczy dla ekumenicznych nastrojów.

Kardynał Pujats powiedział mi, nota bene po łacinie, że łotewski Kościół jest bardzo tradycyjny, co wyczułem już podczas naszych modlitw i rozmów w seminarium. Ale to nie ten sam tradycjonalizm, który da się znaleźć w seminariach na Zachodzie. W naszym wydaniu jest to raczej skazana na niepowodzenie próba cofnięcia wskazówek zegara do czasów iluzorycznych pewności. Przełożony seminarium dziękując mi pod koniec wieczornego spotkania powiedział, że obawiali się, czy nie przyjdzie im zmierzyć się z tematem buddyzmu w czasie nauk o “medytacji”. Ta ciągle pozostaje być trudnym słowem do zdefiniowania w pewnych kontekstach. Lecz, jak dodał, szybko pojęli, że medytacja, jakiej nauczał John Main jest prawdziwą modlitwą w tradycji chrześcijańskiej. A do tego stanowi ona pomost między wschodnimi i zachodnimi Kościołami, coś, co szczególnie leży im na sercu. Byli szczęśliwi mogąc dowiedzieć się czegoś, co umożliwiło im głębsze przeżycie wiary. To jest ten rodzaj tradycjonalizmu, na którym można budować przyszłość.

Każde uogólnienie ma swe zaprzeczenie. W grupie około stu studentów na tamtejszym uniwersytecie zapytałem ilu z nich jest osobami religijnymi. Nikt nie podniósł ręki. Ale kiedy spytałem ilu uważa się za ludzi duchowych – zgłosiła się około połowa. Wtedy zapytałem, czy są tacy, którzy uważają się za anty-religijnych. Podniósł rękę jeden, ale z zawadiackim uśmiechem. Był to kolejny przykład łotewskiej różnorodności w jej maleńkości.

*With much love,
Laurence Freeman*

wrzesień 2007

Na „snajperskich alejach” - Sarajewo

Zważywszy na ogrom codziennych wydarzeń, doniesień o zbrodniach, skandalach i zniewagach, na gniew, który w nas wzbudzą i na współczucie, którego od nas żądają to nie dziwi, że są ludzie, którzy rezygnują ze słuchania i oglądania codziennych wiadomości. W zasadzie te same w sobie aż proszą się o to, zamieniając się w płytką rozrywkę lub też rekonstrukcję wydarzeń. Trzeba nam dziś specjalnych umiejętności by pozostać na bieżąco w sprawach naszej globalnej wioski, a jednocześnie nie dać się nabrać na informacyjną sieczkę, zachować zdrowy rozsądek w ocenie spraw i wydawaniu rzetelnych opinii. Uczestniczyć w rzeczywistości i pozostać jednocześnie kontemplatykiem.

Lepsze od wiadomości jest zobaczenie na własne oczy miejsc i ludzi, którzy tworzyli historię, nawet lata po tym, jak zostali oni umieszczeni w medialnych archiwach. Weźmy na przykład Sarajewo. Pamiętam, że czytałem doniesienia i oglądałem zdjęcia, jak spadały nań bomby. Byłem zszokowany czystkami etnicznymi, deportacjami, torturami, gwałtami i masakrą w Srebrenicy. Wojna w Bośni rozgrywała się gdzieś w dalekim zakątku Europy, o którym wiedziałem co nieco z podręczników historii i z opowiadań moich „wschodnioeuropejskich” znajomych. Pamiętam także, jak czytałem o Międzynarodowym Trybunale Sprawiedliwości, który zręcznie rozróżnił między „ludobójstwem” a „aktem ludobójstwa”, gra słów, która de facto zamieniła prawdę w abstrakcję. Przez cztery lata na łamach gazet Sarajewo oscylowało między pierwszą stroną a kreskówkami. Jednak dla jego mieszkańców każdy dzień musiał być jak apokalipsa teraz. Oblężenie Sarajewa trwało 44 miesiące i było najdłuższym w dziejach współczesnych wojen.

Sarajewo to specyficzne miasto pełne uroku i różnorodności, meczetów i kościołów, a po Holokauście także jedynej, wspaniałej synagogi z dokumentacją deportacji Żydów. Z unikalną kulturą, która uczyniła z Sarajewa intelektualną stolicę Europy muzułmanów.

Miasto to przyjęło do siebie muzułmańskich, prawosławnych, katolickich i żydowskich obywateli. Jego rynek i nieduże mosty tętnią dziś nowym życiem. A nie tak dawno, w czasie oblężenia, które 12.000 mieszkańców przypłaciło życiem, a 50.000 kalectwem, każdego dnia spadało na nie setki pocisków artyleryjskich. Rekord padł w lipcu 1993 roku, gdy na miasto runął grad prawie czterech tysięcy bomb. (Ja mogłem tego dnia być na wakacjach lub prowadzić rekolekcje w jakimś spokojnym

klasztorze). Miasto otaczają wzgórza, gdzie pozycję zajęły serbskie nacjonalistyczne wojska, jak niegdyś Grecy wokół Troi, fanatycznie próbując zniszczyć nowonarodzoną niepodległą Bośnię i Hercegowinę. Oblegali ją „chrześcijanie” obłąkani bezlitosną nienawiścią. Sarajewskich Serbów, którzy odmówili prześladowania muzułmanów, też czekała śmierć. Na „snajperskich alejach” strzelano do przypadkowych przechodniów, gdy ci rozmawiali z sobą na rogach ulic. Głód i brak wody, barbarzyńskie zniszczenie jednej z najwspanialszych na świecie kolekcji orientalnych manuskryptów. Wszystko to wydarzyło się w mieście, w którym niecałe 20 lat przed wojną odbyła się Olimpiada Zimowa, w mieście uczonych, artystów, konserwatoriów muzycznych, franciszkanów i sufistów.

By mimo tego nienawistnego szaleństwa pozostać przy zdrowych zmysłach i żyć tam dalej, można by na przykład próbować zapomnieć cały ten horror wydarzeń. Wtedy, tak jak zrobił to Freud, należałoby rozróżnić między represją - wyparciem bolesnej rzeczywistości, a supresją - celowym odsuwaniem na bok przeszłości dla dobra lepszej przyszłości. W nowym Sarajewie przeszłość jest odsuwana na bok, ale nie jest zapomniana, a pamięć o niej, o dziwo, niesie w sobie ziarno nadziei na przyszłość. Teraz, gdy to wszystko przeszło do historii, nowi rządzący czujnie baczą na to, jak będzie ona zapisana. Przywódcy duchowi twierdzą, że trzeba patrzeć w przyszłość. Ale ciągle w rozmowach niedawne cierpienie i ból wspomnień wychodzą na powierzchnię. Mówią, że zachęcające jest to, iż nie ma już przemocy - w zasadzie nic w tym dziwnego, gdy uwzględnić powojenne zmiany demograficzne. Zasugerowanie spisu ludności jest politycznie ryzykowne. Tak naprawdę ile jest tam jeszcze wyznań religijnych i grup etnicznych, tego nikt nie chce wiedzieć. Zaskakujący i niezmiernie pocieszający jest głód dialogu i modlitwy. Jednakże, jak powiedział mi kiedyś jeden z muzułmańskich przywódców: *“Wszyscy doskonale wiemy, co się dzieje, gdy dialog się kończy”*.

Jeśli miasta mają swoją karmę – tak jak Jerozolima czy Rzym - Sarajewo ma ją również. Jego mieszkańcy powiedzą ci niemal z dumą, że jest to miejsce, w którym wraz z zamachem na księcia Ferdynanda, wzięła swój początek pierwsza europejska wojna XX wieku, i w którym zakończyła się ostatnia wojna zeszłego stulecia, wojna w Bośni.

Z dziwną, ale i nieodpartą logiką najgorsze wydarzenia historyczne czynią to miejsce tym, w którym można nauczyć się wartości obywatelskich, budować pokój i rozwijać dialog, gdzie człowiecza nieludzkość może zostać odkupiona. Tam gdzie przelała się krew można często napotkać ciszę, co skłania do podejmowania na nowo prób bycia człowiekiem. Tak jak w cichych oczach pewnego żydowskiego przywódcy, z którym rozmawiałem o nienawiści pomiędzy ludźmi tej samej Biblii, zobaczyłem prawdziwie szczerą, choć cierpieniem zabarwioną, nadzieję, bez której przeszłość już dawno by nas pochłonęła.

*With much love,
Laurence Freeman OSB*

październik 2007

Maklerzy

Wydawało mi się, że jest to, jak spojrzenie w głęboką przepaść.

W ciężkiej ciszy giełdowego pomieszczenia rzędy komputerów niczym boczne ołtarze gotyckiej katedry wypełniały ciasno 30. piętro błyszczącego budynku banku. Przed każdym z nich siedział oddany mu wielbiciel. Większość maklerów w latach dwudziestych i trzydziestych była po doktoracie i ukończyła kursy MBA. Tutaj siedzieli ściśnięci jeden obok drugiego, tak jakby przestrzeń fizyczna nie była sprawą ludzką w ich wirtualnej rzeczywistości. Co niektórzy rzucali na mnie i mą przewodniczkę spojrzenia, w moim wyobrażeniu, z głębokiej i beznadziejnej samotności, sprawiając, że czułem się niczym Dante w swej wędrówce przez czyściec i piekło.

Dante wiedział, że różnica między tymi dwoma etapami życia-po-życiu leżała w tym, że ognie czyśćca nie były wieczne. Podczas godzin pracy maklerom nie wolno wysyłać prywatnych e-maili i używać telefonów komórkowych, by zbyt silna nie okazała się pokusa przekazania poufnych informacji na zewnątrz. Ludziom nie ufa się tu zbyt. Czekał ich długi, pełen napięcia dzień. Przerwa obiadowa stawała się oryginalnym pomysłem w miarę jak budziły i otwierały się kolejne światowe rynki. Niektórzy maklerzy mieli coś do jedzenia na biurkach, fast-foody dla tych, co już odpuścili fizyczną stronę życia. Uwielbienie dla ich pracy przypomniało mi wizytę późną nocą w jednym z kasyn Las Vegas po konferencji, którą wygłosiłem w tamtejszym kościele. Rzędy jednoręki bandytów, ciągnące się w nieskończoność niczym pomniki nagrobków na rozległym cmentarzu, karmione były innym rodzajem hazardzistów. Obie te świątynie sugerowały dziwny rodzaj wiecznej adoracji. Różnica między maklerami, a graczami z kasyna leży być może w tym, że ci pierwsi mają większą szansę na wygraną.

Nie jest moim zamiarem potępiać tych ciężko pracujących młodych kapitalistów, którzy na ile nam wiadomo utrzymują ten nasz świat w ruchu, czy też pożałować im należnej nagrody. Raczej czułem wobec nich ogromną troskę. Napomknąłem mej przewodniczkę, że czuję się jakbym spoglądał na galery rzymskiego galeona nagle uświadamiając sobie, skąd bierze się siła jego ruchu i w jakich warunkach i za jaką ludzką cenę wiosłowali, przemieszczając nas do przodu, stłoczeni na dole niewolnicy. Było to tak, jakby zostali schwytani w sidła systemu, który w sposób równie bezlitosny eksploatował ich mózgi zamiast mięśni. Później powiedziała mi, że przekazała dalej moją uwagę i uznano ją za celną.

Pomieszczenia maklerskie na całym świecie, takie jak to w tym banku, digitalizują pieniądze, tworzą i doprowadzają do ruiny fortuny w wirtualnym imperium wysokiego ryzyka i stopnia abstrakcji. Żadnych brudnych palców urzędnika przy okienku liczącego pieniądze. W przeciwieństwie do tamtych nieszczęśników na rzymskich galeriach, maklerom oferuje się bonusy w wysokościach, które muszą do pewnego stopnia rekompensować stres i samotność ich pracy. Dowiedziałem się, że przygnębienie, które dało się odczuć w pomieszczeniu, było wynikiem przecieku informacji o zbliżających się cięciach personelu. Bank chcąc jak najmniejszym kosztem pozbyć się co niektórych pracowników ogłosił właśnie niskie bonusy. Każdy w pomieszczeniu wyraźnie odebrał ukryty przekaz. Niektórzy z maklerów już porównali wielkość bonusu z tym, jaki otrzymali ich koledzy w innych instytucjach i zaczęli na własną rękę rozglądać się za nową posadą. Nikt nie wiedział, kto jest na liście cięć, kto przetrwa, czy łokieć obok będzie tu za tydzień, kto wypadnie z własnej inicjatywy. To nie był statek pełen radości, czy też miejsce pracy, gdzie człowiek czuł

się dowartościowany. Lecz szczęście, dało się to wyczuć, nie było w tym miejscu wielką sprawą – liczył się tylko zysk.

A jednak to nie musi tak być.

Nawet bezduszość i nieludzkość źle zarządzanych instytucji, jak ta którą odwiedziłem, mogą być odkupione. Ostatecznie jest to czyściec, a nie piekło. Zawsze znajdują się inne sposoby robienia biznesu. Znam szefa banku, który podjął długą i osobistą walkę w obronie swych pracowników, którzy zostali niesprawiedliwie oskarżeni o nadużycia i stali się kozłami ofiarnymi w politycznej rozgrywce na wyższych szczeblach zarządu. Mógł przyglądać się jak dostają po głowach i jak ich zawodowe kariery obracają się w nicość. Lecz dla niego zysk mieścił się w głębszych obszarach ludzkiej wartości. Stanął w ich obronie i wygrał. Osobiste ryzyko opłaciło się. Jego inwestycja w ludzi wydała większy plon, niż ten, jaki da się przeliczyć na pieniądze: lojalny personel, szczęśliwy zespół odczuwający poczucie bezpieczeństwa i godności. Takie użycie władzy w obronie ludzkiego honoru zmienia kursy wymiany w biznesie. Najgorsze położenie zyskuje, im więcej ludzie będą szukać w nim znaków nadziei. A takie postępowanie automatycznie sprzyja wzrostowi szczęścia.

Gdy opuszczaliśmy pokój maklerski i szybką windą spadaliśmy w dół zapytałem moją przewodniczkę, czy taki sposób traktowania ludzi da się utrzymać na dłuższą metę. Zapytała, czy z punktu widzenia ludzi, czy banku?

To było bardzo niepokojące pytanie, które wykatapultowało w górę wartość rynkową jakiegokolwiek objawu ludzkiej dobroci.

Much love

Laurence Freeman OSB

maj 2008

Bhikkuni - Święcenia kobiet w buddyzmie - Tajlandia

Po zanieczyszczonym zgiełku Bangkoku ośrodek bhikkuni Dhammanandai, oddalony o jakąś godzinę drogi od miasta, chociaż leży tuż przy ruchliwej autostradzie, wydaje się być zieloną oazą ciszy. Znow można było wziąć głęboki oddech zapachu ziemi i bujnej zieleni, zamiast wdychania woni spalin silników diesla. Dhammananda, jedna z ośmiu wyświęconych tajskich mniszek buddyjskich, wita nas bardzo serdecznie. Jej ogolona głowa i szata jak u mnicha zdradzają silną osobowość, przeoryszę w każdym calu. Jak każdy mnich w tradycji terawady je tylko raz dziennie w południe, nic więc dziwnego, że opuszcza nas na czas posiłku ze swym zgromadzeniem. Tak jak w każdym innym klasztorze czas posiłku i modlitwy, są równie święte.

W Tajlandii, kraju o 62 milionowej liczbie ludności, żyje około 300.000 mnichów. Mówią tu na nich *bhikkus*. Ilość ta zmniejsza się nieustannie w miarę jak zachodniego typu zestresowanie codziennego życia koroduje wolny czas, tak niezbędny dla życia klasztornego. Są tacy, którzy patrzą na ten spadek z zadowoleniem, jako że bycie mnichem jest tutaj w znacznej mierze obyczajem społecznym (każdy mężczyzna powinien zostać mnichem na okres przynajmniej 3 miesięcy, by zaskarbić zasługi dla

rodziców), zamiast rzadką i dogłębnie przemyślaną osobistą decyzją, tak jak ma to miejsce na Zachodzie. Wielu chłopców jest oddawanych do buddyjskich klasztorów, jak działo się z oblatami za czasów św. Benedykta, ze względów bądź to ekonomicznych, bądź edukacyjnych.

Buddyzm jest państwową religią w Królestwie Tajlandii i klasztorna sanga jest zalegalizowana w konstytucji. Reaktywne prawo z 1928 roku, po próbach zniesienia przez małą grupę tego, co Dhammananda nazywa usankcjonowaną przemocą wobec kobiet, zabroniło wyświęcania kobiet na *bhikunni*. Te kobiety, które chciały żyć życiem zakonnym, mogły zostać *maecheemi*, mniszkami w białych szatach, którym przypadła rola klasztornej pomocy domowych, utrzymujących budynki i cele mnichów w należytym im czystości i komforcie. I chociaż kilka z takich mniszek zaskarbiło sobie reputację duchowych przewodników, to jednak ich status jest nadal niższy i droga do wyższej edukacji religijnej pozostaje dla nich zamknięta.

Po powrocie Dhammanandy siedzimy wszyscy razem w ogrodzie przy kamiennym stole, podczas gdy ona z werwą opowiada historię silnie zakorzenionego uprzedzenia do kobiet, z którym tak dzielnie bierze się za bary. Zarówno ona, jak i kilka innych wyświęconych mniszek, musiała pojechać na Sri Lankę, zrezygnować z uniwersyteckiej kariery, męża i rodziców, by tam w pełni usłyszeć i zrealizować swe powołanie zakonne. Mówię jej, że przypomina mi ona siostrę Joanę Chittster, radykalną amerykańską benedyktynekę, która przeciwstawiała się podobnym blokadom w Kościele katolickim. Nie dziwi mnie więc, gdy mówi, że zna ją osobiście i że razem pracowały nad kilkoma projektami.

Co jej zdaniem - jestem ciekaw - kryje się za tym archaicznym patriarchalnym obstrukcjonizmem? Dhammananda pyta, czy może sprawę postawić bardzo jasno. *Mam nadzieję, że tak* - odpowiadam. *Pieniądze i władza* - brzmi jej odpowiedź.

Nie ulega wątpliwości, że i te względy są tutaj obecne. Ciemną stroną wszystkich religii jest ich skłonność do popadania w pułapkę bogactwa i statusu, od których jak się ustrzec, same uczą. Później jednak, kiedy czytałem odpowiedź Buddy na kwestię wyświęcania kobiet, zdałem sobie sprawę, że korzenie subordynacji kobiet w religiach leżą znacznie głębiej. Po tym jak Budda, mając 35 lat, osiągnął stan oświecenia, uzależnił on rozprzestrzenianie się jego nauki od zgromadzenia mnichów, które sam ustanowił. Po śmierci ojca, jego macocha, królowa Maha Pajapati, poprosiła Buddę o zezwolenie na wstąpienie do nowego zakonu. *Proszę cię, nie proś mnie o to* - odpowiedział jej Budda. Ona jednak nie dała za wygraną i po jakimś czasie przysłała znowu, tym razem z pochodem 500 kobiet z ogolonymi głowami i ubranymi w pomarańczowe szaty. I tak, jak i za pierwszym razem, Budda dał jej tą samą odprawę. Widząc to Ananda, jego ukochany uczeń, zapytał, czy uczynił tak, gdyż kobiety nie są zdolne do osiągnięcia oświecenia, tak jak mężczyźni. Budda zdecydowanie stwierdził, że tak kobiety jak i mężczyźni mają ten sam potencjał duchowy – swoją drogą to historyczna i znacząca wypowiedź w dziejach religii świata. W końcu jednak uległ presji i mniszki macochy zostały przyjęte do klasztoru. Problem powrócił już wkrótce po jego śmierci, i jak *bhikunni* Dhammananda stanowczo twierdzi, pozycja kobiety w większości społeczeństw buddyjskich ulega stałemu pogorszeniu.

Opowiadanie o Buddzie i jego macosze ze zdumieniem przypomina historię św. Benedykta i jego siostry, też zakonnicy, Scholastyki. Kiedyś odwiedził on ją w jej

klasztorze. Nalegała, by zatrzymał się na dłużej, Benedykt jednak posłuszny swojej regule, musiał odmówić. Wtedy ona wymodliła wielką burzę, która uniemożliwiła mu powrót. Zgromił ją za to, ale ona i tak postawiła na swoim.

Może powodem, dla którego mężczyźni czują, że muszą dominować nad kobietami, jest strach przed byciem przez nie zniewolonymi. Relacja matka-syn nie jest relacją partnerską i dla większości mnichów (tak jak było to w przypadku Buddy) jest to najsilniejszy związek, jaki kiedykolwiek mieli z kobietą.

Jednakże bhikunni Dhammananda nie współzawodniczy z mnichami. Czeka z cierpliwością na swoją godzinę, bo czas jest po jej stronie. Nie próbuje więc ich zdominować i nastraszyć. Zmiana i nowoczesność nieuchronnie docierają do buddyźmu w Tajlandii, podobnie jak przenika ona inne religie.

Much love

Laurence Freeman OSB

grudzień 08

Prawdziwie kochani - Salvador, Brazylia

Lunch we wspólnocie Trójcy Świętej - w biedniejszej części miasta Salvador, w tropikalnej północno-wschodniej części Brazylii - był bardzo inny, ale jednak dziwnie podobny do posiłku w klasztorze. San Sebastiano było pierwszym benedyktyńskim klasztorem założonym poza kontynentem europejskim. Cały czas są tam długie szerokie korytarze z drewnianymi podłogami wypolerowanymi przez pokolenia mnichów i przestrzennymi bielonymi celami typowymi dla okresu kolonialnego. Posiłki tak, jak w większości klasztorów, są wychoreografowanymi rytuałami efektywnego jedzenia i społecznej organizacji, oprawionymi w język modlitwy. Poszczególni mnisi niewiele zdradzają o sobie samych.

W kościele Trójcy Świętej wspólnotę tworzą ludzie ulicy. Jedzenie jest gotowane na drewnianym piecu na otwartym powietrzu. Młoda kobieta odpowiedzialna za gotowanie tego popołudnia wydawała się niespokojna - posiłek się spóźniał. Niestety znowu były ryż i fasola, chociaż melon wyglądał smakowicie (i takim się też okazał). Jedzenie podawano na długim stole i wzdłuż odrapanych ścian ustawiono surowe ławy dla wspólnoty i jej gości. Siedzieliśmy słuchając, jak opat wspólnoty brat Henrique spokojnie odczytał fragment z Ewangelii, pomodlił się i przywitał nas. Obok mnie siedziała Maria, duża kobieta, dziś niepoczytalna ale kiedyś bardzo żywiołowa osobowość. Całe lata żyła na ulicy, regularnie upijana i wykorzystywana seksualnie. Jej bezzębny uśmiech przez lata poniżenia przyklejony sztucznie do twarzy, powoli nabrał szczerości poprzez akceptację i poczucie przynależności, jakie znalazła w Comunidade da Trindade.

Posiłek był nieformalny i swobodny, ale na swój własny sposób dostojny i uporządkowany. Brat Henrique ze swoim łagodnym i uważnym autorytetem emanował spokojem. Inni członkowie wspólnoty, to także ludzie ulicy, w większości zmagający się z narkotykami albo alkoholem, bądź wychodzący z prostytucji.

Historie wypisane w ich oczach ostrożnie spoczywały otulone przyjaźnią i miłością starszych członków wspólnoty, którzy nauczyli się stałości i praktykowania gościnności. Co noc oni i wszyscy inni, którzy się pojawiają, śpią na kartonach na posadzce kościoła.

Po raz pierwszy spotkałem Henrique'a, niskiego, żylastego i ascetycznego człowieka, pięć lat temu, kiedy brał udział w rekolekcjach medytacyjnych i ponownie przed kilkoma dniami podczas kolejnych dni skupienia. Przez lata był posłuszny wezwaniu, aby iść za Jezusem żyjąc i podróżując, jako bezdomny pielgrzym po całej Brazylii. Tak, jak Rosyjski Pielgrzym modlił się nieustannie, gdy szedł i gdy był transportowany przez policję. Kiedy przybył do Salvadoru, zaczął spać na posadzce opuszczonego i zrujnowanego kościoła, który znajduje się na małym wzgórzu w slamsach po przeciwnej stronie surowej okolicy starego portu. Kościół został założony przez nieistniejącą już francuską wspólnotę pracującą na rzecz wyzwolenia niewolników. Kiedy i inni wraz z nim znaleźli tam schronienie, Henrique poprosił diecezję o ten kościół. Dach został naprawiony, ale budynek cały czas jest w surowym stanie, służąc częściowo za noclegownię, a częściowo za dom modlitwy. Rano i wieczorem w modlitwę wpleciony jest okres cichej medytacji, którą ci ludzie ulicy uwielbiają. Na wzgórzu, kilkanaście metrów powyżej kościoła, znajduje się mały, bujny ogród oraz kilka pojedynczych pokoi, które Henrique dumnie pokazuje mi, jako ich pustelnię. Pokoje używane są przez członków wspólnoty i czasami księży diecezjalnych, którzy przyjeżdżają tu złapać oddech od twardego życia pracy z ubogimi.

Wtedy, kiedy zapytałem się Henrique'a co dzieje się, gdy członkowie wspólnoty wracają do narkotyków albo picia, zrozumiałem, jak prawdziwie niezwykła jest ta tropikalna epifania Królestwa i życia według Ewangelii. Odpowiedział, jak uczyniłby to każdy opat, że to wszystko zależy. Każdy przypadek, każdy człowiek jest wyjątkowy. Dobro osoby i dobro wszystkich muszą być wyważone. Życie z kimś, kto się narkotyzuje jest dla tych, którzy usiłują wyjść z nałogu bardzo trudne. Ważne jest by pamiętać, że wspólnota nie jest instytucją socjalną, mierzącą swe sukcesy liczbą wyzwolonych z nałogu, ale jest po prostu wspólnotą.

Choć łatwo to miejsce pomylić z przytułkiem albo ze schroniskiem dla bezdomnych, to jest ono jednak czymś o wiele więcej. Jest to w istocie bardzo prawdziwa wspólnota kontemplacyjna, która jak każda inna ma swoje codzienne kłopoty. Modlitwa znajduje się w sercu jej życia i wyznacza rytm dnia, tak jak w innych klasztorach, albo nawet jeszcze bardziej. W sercu ich modlitwy jest duch miłości. Brat Henrique powiedział mi, że kiedy członkowie odchodzą, żegna się ich tak samo czule, jak wtedy, kiedy byli witani. Nie ma miary sukcesu, nie ma miary porażki. „Liczy się to” - powiedział iskrząc swymi niebieskimi oczyma – „żeby w chwili desperackiej samotności, tam na śmietniku ulicy, przypomnieli sobie, że byli kiedyś traktowani z godnością i prawdziwie kochani.”

Much love

Laurence Freeman OSB